



# Nowo OTWARTY MAGAZYN OBUWIA ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516

poleca najlepszej jakości i trwałości

**obuwie dziecięce, damskie i męskie.**

LEON SAZIE.

## ZIGOMAR

STRASZLIWY BANDYTA.

19

— A to dlaczego?  
— Dlatego, że w jednym z wagonów toczy się walka.

— Walka?  
— Jestem, jak ci mówiłem, Paulin Broquet...  
— Detektyw?  
— Tak.

Nie wierząc jeszcze maszynista spojrzał niespokojnie na detektywa.

— Pan jest Paulin Broquet? Pan?

— Tak. Nie masz się więc czego obawiać. Wiesz przecież, że jestem na waszej łasce i proszę, żebyście mi pomogli.

— Dobrze — odparł maszynista, prawie przekonany, zobaczymy.

Poczem zwrócił się do palacza.

— Daj spokój temu człowiekowi, ale nie spuszczać go z oka.

— Doskonale! — zawołał z uśmiechem Paulin Broquet. — Można was tu napaść, a nie macie żadnej broni... Mogę wam dać swój rewolwer.

Podał go palaczowi.

— Jeżeli zrobię jakie podejrzanе poruszenie — strzelaj!

Palacz wziął rewolwer, a detektyw zapytał maszynistę.

— Dałeś sygnał na alarm, tak?

— Tak?

— Służba, podróżni zbierają się tu... Nie macie się czego obawiać. Więc zatrzymaj pociąg.

— Przy takiej szybkości, trzeba być ostrożnym.

— Czyż żaden z was nie słyszał sygnału w pociągu?

— Nie — nie było żadnego sygnału.

— To dziwne... Ale w każdym razie hamuj... hamuj...

Muszę przejrzeć linię za pociągiem.

— Poco?

— Ściągałem bandytę po dachach wagonów..., przy wjeździe do tunelu został zabity — muszę znaleźć jego ciało...

W tej chwili na stopniach lokomotywy ukazał się człowiek.

— A! pan tu, panie szefie — zawołał wesoło. Cały? Zdrow?

— Cały, mój chłopcze!

— Ach! brawo! brawo!

Był to l'Amorce, który skacząc ze stopnia na stopnie — dostał się na lokomotywę,

— Dlaczego nie zatrzymaliście pociągu? — zapytał Paulin Broquet.

— Ależ, panie szefie — ciągnąłem za wszystkie rączki sygnałowe — żaden nie działał.

— Popsuto je.

— Tak jest, panie szefie. Pozamykali też drzwi od wagonów, dlatego musiałem obrać tę drogę, żeby się tu dostać.

Tymczasem maszynista, przekonany już w zupełności, hamował stopniowo pęd pociągu i wreszcie zatrzymał go. Konduktorzy, urzędnicy pocztowi, zbiegli się natychmiast do parowozu. Podróżni, zaniepokojeni dopytywali, co się stało i rozpoczęli narzekania na zarząd kolei. Ale nad tym całym gwarem, nad krzykiem wystraszonych i rozgniewanych podróżnych, nad świstem maszyny dominował grzmiący głos kapitana La Rochardie.

### ROZDZIAŁ LIII.

Zielona raca.

La Rochardie stał na tylnej platformie wagonu. W chwili gdy pociąg począł zwalniać biegu, zobaczył jakiegoś człowieka, który chyłkiem przemknął się koło niego i wyskoczył na tor. Kapitan domyślił się w nim bandyty, jednym susem skoczył na ziemię i rzucił się na uciekającego. W tej chwili jednak z platformy zeskoczył jeszcze jeden człowiek i przyszedł z pomocą napadniętemu. La Rochardie nie cofnął się i począł walczyć z obu przeciwnikami. Dzielnny kapitan nie robił po cichu, a im zaciętszą prowadził walkę, tem głośniej krzyczał. Walka ta jednak mogła się źle skończyć, ukazał się trzeci bandyta ze sztyltem w ręku. Zamierzył się i chciał pchnąć kapitana w plecy. Ale w tej chwili runął jak kłoda na ziemię. To Montgomery, przybywszy w sam czas na pomoc swemu przyjacielowi, wymierzył bandycie potężny cios pod brodę, waląc go na ziemię. La Rochardie walczył tymczasem dalej rozdzielając na prawo i na lewo uderzenia pięści, którą wymachiwał jak szablą. Powalił jednego z przeciwników na ziemię, ale ten, padając, nie stracił przytomności. Pochwycił kapitana za nogi i pociągnął za sobą. La Rochardie wydał okrzyk wściekłości i upadł. Podniesiono go natychmiast i odprowadzono do wagonu, gdzie już znajdowali się Simonet i Montgomery.

— Pilnujcie panowie Simonet'a — rzekł żywo Paulin Broquet, zaglądając do przedziału. — Pilnujcie go dobrze. Do widzenia!

Pociąg ruszył, unosząc trzech przyjaciół, kilku ludzi z brygady Paulin Broquet'a i dwu bandytów starannie związanych i zamkniętych pod strażą w wozie towarowym.

Paulin Broquet ze swymi pomocnikami począł przeszuwać tor kolejowy w nadziei, że znajdzie jakiś ślad po zamaskowanym bandycie, zrzuconym z dachu wagonu. Oddział detektywa szedł szybko w stronę tunelu de Bonnières, posługując się wielką latarnią, wziętą z pociągu. Od tunelu oddzielała ich przestrzeń około trzech kilometrów.

— Wypuść racę — rzekł Paulin Broquet do Gabryela. — Po chwili smuga światła przecięła czarne tło nieba, raca pękła w górze z hukiem i posypał się deszcz gwiazdek. Był to umówiony znak dla drugiego oddziału pomocników detektywa, którzy wyjechali z Paryża automobilem i mieli jechać aż do Rouen, gdyby po przejściu pociągu przez tunel detektyw nie dał żadnego znaku. Automobil prowadził Sidi. Gdy Paulin Broquet zbliżał się już do tunelu, w ciemnościach nocy zabłysła druga raca, koloru zielonego.

Detektyw zatrzymał się, zdziwiony.

— Co to znaczy? — zapytał.

— O! panie szefie! — odparł ze śmiechem Gabryel — pan wie, że Sidi potrafi się zdobyć zawsze na jakąś sztuczkę. Wypuścił tę racę, żeby dać panu znać, że zrozumiał sygnał i że czeka.

Paulin Broquet nie zdawał się być przekonany i ruszył pospiesznym naprzód. Gdy wchodził do tunelu usłyszał charakterystyczny huk, odwrócił się i ujrzał jeszcze jedną zieloną racę, wypuszczoną mniej więcej w tem miejscu, gdzie zatrzymał się przedtem pociąg.

— Doskonale! — rzekł detektyw — to są ich sygnały. Dążą za nami, chcą nas otoczyć.

— Panie szefie — zaproponował Gabryel — a gdybyśmy tak zamiast iść tunelem, gdzie narazamy się na wielkie niebezpieczeństwo — gdybyśmy go obeszl?

— A jeżeli trup znajduje się w tunelu! — odparł detektyw. — Myślisz, że przyjdzie do nas, gdy go zawołamy?

Nie można było na to nic odpowiedzieć.

— Macie broń, chłopcy? — zapytał Paulin Broquet.

— Tak jest, panie szefie.

— Dobrze. W drogę więc!

W milczeniu weszli do tunelu. L'Amorce idąc obok detektywa oświetlał wnętrze tunelu ogromną latarnią. Tunel był długi. Lada chwila można było spodziewać się napadu z przodu lub z tyłu. Paulin Broquet wiele ryzykował, udając się w tych warunkach na zbadanie tunelu. Ale obawy były próżne, nikt nie miał zamiaru napadać na detektywa i jego ludzi. Przed samym wylotem tunelu Paulin Broquet zatrzymał się i rzekł do L'Amorce.

— Poświeć no tu, mój chłopcze!

L'Amorce zbliżył latarnię do wskazanego miejsca i natychmiast wszyscy zawołali:

— Krew!

Paulin Broquet milczał, ale oczy jego rzucały dziwne błyski. Na jednej z szyn i obok na drewnianym podkładzie widać było czerwoną plamę krwi, ślad ten ciągnął się dalej o kilka metrów.

— Ta krew spłynęła tu z dachu wagonu, a więc ten człowiek został zraniony. Musimy znaleźć ciało.

Zwrócił się do wyjścia tunelu.

— Świeć, mój chłopcze, świeć — mówił do L'Amorce. — Uderzenie odrzuciło zapewne ciało dalej... Szukajmy!

Nic jednak nie znaleźli, pomimo starannych poszukiwań.

— Jednakże — rzekł Paulin Broquet, powracając do tunelu — jednakże tu się uderzył o sklepienie.

Mówiąc to patrzył w górę. Nagle wydał okrzyk zdziwienia, porwał latarnię i oświecił nią szczyt sklepienia u wejścia do tunelu. Trzepotała się tam uczepiona do rosnących między kamieniami krzewów, jakaś czarna szmatka. Gdy pierwsza chwila zdumienia minęła, ludzie detektywa, nie czekając na jego rozkaz, stając sobie wzajemnie na ramionach, zdjęli ten dziwny przedmiot. Był to kawałek czarnej jedwabnej materii, zboczony krwią. Paulin Broquet rozwinął go, wówczas ukazały się dwa okrągłe otwory. Była to więc maska bandyty, którego ścigał po dachach wagonu detektyw. Krew była wodem, że bandyta został zabity lub co najmniej ranny. W głębi pod otworami na oczy błyszczała wyszyta złotym szychem litera „Z“.

Ludzie Paulin Broqueta spojrzeli po sobie, potem podnieśli wzrok na swego szefa, który z uśmiechem na ustach badał ciągle maskę. Wreszcie rzekł:

— Każdy inny na miejscu Zigomara byłby zabity.

### ROZDZIAŁ LIV.

Po raz pierwszy Paulin Broquet wymówił imię bandyty, z którego bandą on i jego ludzie stoczyli zwycięską, straszliwą walkę. Paulin Broquet trzymał w ręku maskę samego Zigomara, maskę zakrwawioną, świadczącą o porażce bandyty. Prócz tego unicestwił zamach na papiery, wiezione przez Simoneta i pochwycił dwu bandytów. Detektyw mógł więc być zadowolonym. Wziął maskę pod pachę i rzekł:

— Chodźmy, jeszcze z nim nie skończyliśmy.

Sidi, który nadbiegł przed chwilą, wtrącił:

— Nie trzeba go szukać daleko.

— O! o! co chcesz przez to powiedzieć, Sidi?

— Przez całą drogę z Paryża jechałem za wielkim automobilem. Zatrzymałem się w miejscu, które mi pan wskazał, panie szefie. Kiedy pociąg przyszedł i nikt z niego nie dał mi sygnału, pomyślałem, że wszystko jest w porządku i ruszyłem dalej. Z tamtej strony tunelu zobaczyłem automobil, schowany w załamaniu wzgórza. Nikogo w nim nie było.

— Nikogo?

— Nikogo... Na wszelki wypadek zagasiłem światła i podjechałem ostrożnie do tego tajemniczego automobilu. Chciałem popsuć pneumatyki, ale nie udało mi się. Więc przedziurawiłem w kilku miej-